

Powyborcze pobjowisko? Czas na przegrupowanie!

Article by Bartłomiej Kozek

December 14, 2018

Jesienne wybory samorządowe były pierwszymi w cyklu wyborczym, który na lata ukształtuje polską scenę polityczną.

Choć nie przyniosły one wyraźnego zwycięstwa ani PiS, ani Koalicji Obywatelskiej, to mogą one stać się początkiem istotnych zmian na polskiej scenie politycznej. Gra toczy się o to, która z tych formacji ostatecznie wygra maraton (na który składają się wybory europejskie i parlamentarne w 2019 oraz prezydenckie w 2020) i czy ich starcie zostawi jakąś przestrzeń dla innych, bardziej progresywnych ugrupowań.

Po pierwszej turze wyborów samorządowych można było odnieść wrażenie, że rządzące krajem Prawo i Sprawiedliwość miało powody do zadowolenia. Wbrew podawanym wieczorom wynikom *exit polls* główny rywal partii na obszarach wiejskich i w mniejszych miejscowościach – Polskie Stronnictwo Ludowe – zdobyło słabszy niż prognozowany wynik. Osłabiło to „kordon sanitarny” wokół formacji Jarosława Kaczyńskiego, jaki partie opozycyjne planowały zastosować w sejmikach. W efekcie PiS zdobył samodzielną większość w 6 z 9 województw, w którym zdobył najwięcej głosów, a do tego zdołał (na różne sposoby) zdobyć władzę w kolejnych dwóch.

Punkty dla PiSu

To o tyle ważne, że sejmiki odgrywają niebagatelną rolę w podziale środków unijnych w regionach. Warto pamiętać, że po poprzednich wyborach samorządowych w roku 2014 Prawo i Sprawiedliwość było w stanie objąć władzę jedynie na Podkarpaciu. Oznacza to, że udało mu się poczynić niemałe postępy – zarówno w odzyskiwaniu wschodu kraju, jak również w pozyskiwaniu poparcia na obszarach, uznawanych do tej pory za mateczniki Platformy Obywatelskiej (Śląsk, Dolny Śląsk).

Liberalna opozycja – PO i .Nowoczesna, które wystąpiły pod sztandarem Koalicji Obywatelskiej – dużo bardziej skupiły swą uwagę na dużych miastach. Pomimo prób odwołania się do lepiej wykształconego elektoratu miejskiego, czego symbolem miał być awans ministra Mateusza Morawieckiego na stanowisko premiera, PiS doświadczył tu szeregu porażek, w tym prestiżową przegraną (już w pierwszej turze) w Warszawie czy nokaut w Łodzi, będący skutkiem sugestii, jakoby dotychczasowa prezydent miasta, Hanna Zdanowska, nie mogła objąć urzędu z powodu bycia skazaną prawomocnym wyrokiem.

Do czasu drugiej tury można było argumentować, że wyniki te stanowią potwierdzenie status quo. PiS okazał się mocny w swoich bastionach, a liberalna opozycja – w swoich. W efekcie nie zmienić się miało tak znowu wiele. Opinia ta może jednak nie być taka łatwa do utrzymania, a to z powodu wyników w miastach, w których w pierwszym głosowaniu żaden z kandydatów nie zdobył ponad 50% głosów. Choć sukcesy dotychczasowych włodarzy w miastach, takich jak Kraków czy Gdańsk, nie były niespodzianką, to już porażki kandydatów Zjednoczonej Prawicy w mniejszych miejscowościach (w tym tych położonych w regionach silnie popierających tę formację) za taką niespodziankę uznać już można.

Problemy w matecznikach

Skalę problemów PiS najlepiej ilustruje fakt, że największe miejscowości, które przez najbliższe 5 lat mieć będą włodarza z obozu ZP nie mają więcej niż 65 tysięcy mieszkańców. Oznacza to, że większość średnich – i całkiem spora grupa małych – miejscowości wydaje się podatna na komunikat opozycji. Jak w jednym ze swych artykułów

zauważył Lech Mergler, ze względu na układ sieci osadniczej w Polsce można je uznać na rodzimy ekwiwalent amerykańskich *swing states*.

Także i ta opowieść nie jest pozbawiona pewnych słabości. Druga tura wyborów, w której w grze pozostaje tylko dwóch kandydatów, to nieco inna para kaloszy niż głosowanie do sejmików czy rad większych miast, w którym wybór jest znacznie większy. Fakt, iż PiS wygrało w sejmikach z KO różnicą 7 punktów procentowych (34,1 do 27%) i że PSL (12,1%) zdobywa znacznie niższe poparcie w wyborach innego typu pokazuje, że partia rządząca ma wciąż poważne szanse na zwycięstwo w przyszłym roku.

Najgorsze, co w takiej sytuacji mogłaby zrobić liberalna opozycja to usiąść na laurach i uznać, że wystarczająco dobrą dla niej taktyką będzie wieczne krytykowanie każdej możliwej decyzji rządu. Stulecie odzyskania niepodległości pokazuje to aż za dobrze.

PiS wykorzystało fakt, że ustępująca prezydent miasta, Hanna Gronkiewicz-Waltz zakazała organizowanego przez środowiska skrajnej prawicy Marszu Niepodległości – i postanowiło przejąć imprezę, wymuszając na jej organizatorach wspólne obchody. Dla partii tej był to wygodny sposób na zakrycie faktu, że długie miesiące przygotowań do obchodów zostały w dużej mierze zmarnowane.

Choć próba okiełznania nacjonalistycznych uczestników raczej się nie powiodła to fakt, iż wspólny marsz środowisk narodowych i władz państwowych zebrać miał 200-250 tysięcy ludzi pokazuje, że Prawo i Sprawiedliwość wciąż potrafi wykorzystywać retorykę „wstawania z kolan” oraz konieczności ochrony „tradycyjnych wartości” na swoją korzyść – nawet jeśli efektem ubocznym ma być otwieranie przestrzeni politycznej na prawo od siebie. Marsz ten nie pomógł rzecz jasna w rozwiewaniu wątpliwości zagranicznych obserwatorów co do tego, czy Polska nie podąża w stronę nieliberalnej demokracji, inspirowanej Viktorom Orbánem.

Rozkład po lewej

Jak do tej pory w centrum naszej uwagi były trzy listy wyborcze, usytuowane na prawo od politycznego centrum – i nie bez powodu. Jedynie one zdobyły reprezentację polityczną we wszystkich 16 sejmikach. Fakt ten pokazuje skalę dezintegracji innych sił politycznych, szczególnie tych z lewej/progresywnej strony sceny politycznej.

Sojusz Lewicy Demokratycznej zdobył jedynie 6,6% głosów sejmikowych i reprezentację w 7 regionach. Jedynie w jednym z nich będzie niezbędną częścią składową koalicji rządzącej, podczas gdy w kolejnych 4 może być elementem powiększenia przewagi koalicyjnej. Pozostałe listy na lewo od centrum uzyskały znacznie gorsze rezultaty, lądując znacznie poniżej pięcioprocentowego progu. Partia Razem, która chciała pokazać, że utrzymuje poparcie z wyborów parlamentarnych w roku 2015 (3,6%), tym razem zdobyła raptem 1,6% głosów. Partia Zieloni po raz pierwszy w swej historii wystawiła listy sejmikowe we wszystkich województwach (choć nie we wszystkich okręgach) i sięgnęła 1,15% poparcia. W dwóch regionach zdobyła nawet więcej głosów niż Razem – w województwie lubuskim jej poparcie wyniosło nawet 2,6%.

Choć można widzieć ten rezultat jako krok w dobrą stronę w rozwoju partii, to jednak uznanie tegorocznych wyborów za szczególny sukces progresywnych sił politycznych byłoby oszukiwaniem samego siebie. W Warszawie – dla przykładu – zielono-lewicowa kandydatura Jana Śpiewaka padła ofiarą polaryzacji między KO a PiS. Zdobyl on ledwo 3% głosów, kończąc na odległej, trzeciej pozycji. Lista Wygra Warszawa zdołała zbierać 3,9% głosów na poziomie miasta, a na poziomie dzielnicowym zdobyć pojedynczego radnego na Pradze Północ.

Lokalne wyzwania

Przeciwko wyborczym przełomom w tegorocznym głosowaniu samorządowym i wpływowi progresywnych

polityczek i polityków na jakość życia w ich lokalnych wspólnotach działały trzy trendy.

W niektórych miastach lokalne ruchy miejskie zdecydowały się na samodzielny start, często powiązany z dość silnie anty-partyjnym przekazem. W wypadku Warszawy skończyło się to dwiema listami (Wygra Warszawa oraz Miasto Jest Nasze), z których żadna nie zdobyła mandatów w radzie miasta. Nawet tam, gdzie udawało się połączyć siły ordynacja wyborcza, premiujące duże ugrupowania, umożliwiła zdobycie mandatów pomimo aktywnej, angażującej lokalny elektorat kampanii (casus Gdańska czy Białegostoku).

Innym wyzwaniem okazała się lista Bezpartyjnych Samorządowców, gromadząca luźno ze sobą powiązanych lokalnych polityków, próbujących dystansować się od partii politycznych (i to pomimo faktu, że spora ich część była niegdyś ich członkami). Prezentując antypartyjną retorykę, połączoną z podkreśleniem swego doświadczenia w radach miast, sejmikach czy urzędach prezydenckich dla części elektoratu wydali się bardziej przekonujący jako osoby gotowe do reprezentowania ich na szczeblu lokalnym i regionalnym. W efekcie udało im się zdobyć polityczną reprezentację w 5 województwach, z czego jednym z nich będą współzrządzić (Dolny Śląsk), a na kolejne mogą uzyskać pewien wpływ (Pomorze Zachodnie).

Trzecim interesującym trendem, którego rozwój warto będzie obserwować, okazał się przypadek Krakowa. Niegdyś poseł PO i Twojego Ruchu, Łukasz Gibała, zdołał uzyskać 17,1% głosów w tamtejszym wyścigu prezydenckim, prezentując bardzo ekologiczny na tle rywali program wyborczy (w tym postulat darmowej komunikacji zbiorowej dla mieszkańców czy szeroko zakrojone inwestycje w miejskie tereny zielone) i w dużej mierze chowając swoje wolnorynkowe zapędy. Jego lista wyborcza, na której znaleźli się aktywiści ekologiczni oraz działaczki kobiece, otrzymała 12,7% głosów, co zapewniło jej czteroosobową reprezentację w radzie miasta. Dla porównania komitet wyborczy, złożony z działaczy razem i bardziej lewicowych aktywistów otrzymał 3,1% poparcia.

Nie jest moim zdaniem wykluczone, że w kolejnych wyborach samorządowych za 5 lat zobaczymy większą ilość kandydatów podobnych do Gibały – nie tylko w Krakowie. Jesienne głosowanie zdaje się zwiastować koniec lokalnych polityków o bardziej tradycyjnym, technokratycznym podejściu do miasta, którzy startowali często w kontrze do ruchów miejskich i ich wizji, którą uznawali za „antyrozwojową” z powodu krytycznego stosunku np. do wieżowców czy zabudowy terenów zielonych (Warszawa, Poznań).

Przejsie do bardziej eko-kapitalistycznej narracji o mieście, zainspirowanej wizją zrównoważonego rozwoju czy ideą *smart cities*, może okazać się niemałym kłopotem dla inicjatyw politycznych, stawiających na łączenie kwestii sprawiedliwości społecznej i ekologicznej. Pytanie o to, czy warto współpracować z miejskimi, zielonymi liberałami – a jeśli nie to w jaki sposób się od nich różnić, by mimo konkurencji osiągać sukcesy wyborcze – może okazać się kluczowe dla ich przyszłości.

Cisza przed (kolejną) burzą

Inną, istotną kwestią po tych wyborach jest przyszłość polskiej lewicy na szczeblu ogólnokrajowym. Nie ulega wątpliwości, że formuła jej działania musi ulec drastycznym zmianom – i to już nie tylko po to, by odnosić wyborcze sukcesy, ale by w ogóle przetrwać. Przetrwanie okazuje się zresztą coraz większym wyzwaniem, jako że inne partie i ruchy społeczne zdołały odebrać jej poszczególne postulaty oraz zaczęły próbować udzielać własnych odpowiedzi na „tradycyjne” lewicowe czy ekopolityczne tematy, takie jak mieszkania komunalne czy jakość powietrza.

Pierwsze kroki w procesie wymyślenia się na nowo zostały zresztą już podjęte. Ich największym symbolem stała się zmiana postawy wśród polityków Razem i ich otwarcie się na dyskusję na temat współpracy wyborczej z SLD – i to pomimo faktu, że właściwie rzecz biorąc życzyli tej partii zgonu od pierwszego dnia swojego istnienia na

scenie politycznej.

Jaskółki zmian nie oznaczają jednak jeszcze, że znamy ostateczny kształt politycznego krajobrazu po lewej. Były prezydent Słupska, Robert Biedroń, pracuje pełną parą nad stworzeniem swojego własnego, progresywnego projektu politycznego. Trudno powiedzieć, czy będzie zainteresowany połączeniem sił z już istniejącymi na scenie politycznej partiami – może je bowiem postrzegać bardziej jako kulę u nogi niż cennych sojuszników.

Jeśli do takiej współpracy by nie doszło możemy być świadkami powstania co najmniej dwóch list wyborczych, konkurujących ze sobą o zbliżony elektorat. Piszę „co najmniej”, bowiem brak wspólnej listy może np. zmniejszyć apetyt Razem na poświęcenie swej ideologicznej czystości na rzecz hipotetycznych miejsc w Sejmie. Pamiętajmy, że partia powstała w roku 2015 w celu odrodzenia lewicy i odcięcia się od SLD, który krytykowała za korupcję, wojnę w Iraku i trzecie drogą politykę ekonomiczną w latach 2001-2005.

Wspomniane trendy nie zwiastują póki co wielkich sukcesów w zakresie wzmacniania progresywnych sił politycznych w Parlamencie Europejskim politykami z Polski. Choć niska frekwencja oznacza najczęściej, że wielkomiejskie, progresywne siły polityczne mają większe szansę na zdobycie reprezentacji europarlamentarnej (nawet bez tworzenia wspólnej listy), to jednak założenie to może okazać się ryzykowne w wypadku utrzymywania się wysokiego poziomu politycznego wzmocnienia oraz polaryzacji na osi KO-PiS. Nie jest również czymś niewyobrażalnym scenariusz, w którym do Koalicji Obywatelskiej – mimo pewnych zastrzeżeń – dołączą PSL czy SLD.

Choć dynamika tych zmian wydaje się niezmiernie interesująca to nie wydaje się, by przybliżała nas ona do urzeczywistnienia wizji Polski jako aktywnego gracza na rzecz wzmacniania integracji europejskiej, orędowniczki ambitnej walki ze zmianami klimatu oraz ochrony praw człowieka na Starym Kontynencie. Miejmy nadzieję, że polskie ugrupowania lewicowe i progresywne sprawią nam miłą niespodziankę.

Artykuł powstał we współpracy z Zielonym Magazynem Europejskim.



Bartłomiej Kozek is a journalist of Zielone Wiadomości (Green News), a Polish bi-monthly magazine and web portal presenting current affair commentary from a green point of view. He has been a secretary general of the Polish Green Party – Zieloni 2004 and one of the authors of the party's policy on social issues.

Published December 14, 2018

Article in Polish

Translation available in English

Published in the *Green European Journal*

Downloaded from <https://www.greeneuropeanjournal.eu/powyborcze-pobojowisko-czas-na-przegrupowanie/>

The Green European Journal offers analysis on current affairs, political ecology and the struggle for an alternative Europe. In print and online, the journal works to create an inclusive, multilingual and independent media space. Sign up to the newsletter to receive our monthly Editor's Picks.